

Na cztery miesiące przed trzynastym

Niedawno w jednym z tygodników natrafiłem na tekst, w którym autor w kilku zdaniach przypomina Zygmunta Trziszkę, pisarza, który popełnił samobójstwo. Pisarza nieco kontrowersyjnego, jeśli idzie o jego okololiterackie działania. Jednakowoż pisarza, który napisał kilka niezłych książek. Moim zdaniem swoim prozatorskim uchem wylawiającego rzeczy niepoślednie i, jak na owe czasy, nazywającego je swoim własnym „trziszkowym” językiem.

Moje wspomnienie Zygmunta Trziszki wiąże się z przedprożem stanu wojennego i z wakacyjnym pobytem młodych adeptów pióra w ośrodku Śródborów pod Warszawą. Był to akurat kulminacyjny punkt solidarnościowej rewolucji i chwilowy, niestety, oddech wolności. Dla pisarzy chwilowy oddech wolności słowa. Czego znamieniem w śródborowskim ośrodku były między innymi noszone przez niektórych uczestników na piersiach znaczki z czerwoną gwiazdą przekreśloną drutem kolczastym, z napisem „Katyń”. Młodzi w swoim entuzjazmie nie zastanawiali się wtedy nad tym, że nadal za nimi skrada się esebek, którego pozycja wcale nie zmaląła. Wręcz przeciwnie, za kilka miesięcy miała wzrosnąć i to w sposób niewyobrażalny. Co w tym wszystkim najsmutniejsze – ten esebek nierzadko pisywał całkiem niezłe wiersze. Toteż nigdy nie zapomnę gestu Zygmunta Trziszki, który podczas obiadu w stołówce ośrodka symbolicznie podarł sobie „z tyłu brzuch” poematem Krzysztofa T., poety, który – zdaniem autora „Wielkiego świniobicia” – był konfidentem służby bezpieczeństwa.

Mimo to, mimo tych gestów, po okrągłym stole życie Trziszki nie rozpieszczęło. Mocno podupadł prestiż Związku Literatów Polskich, a nowo powstałe Stowarzyszenie Pisarzy Polskich autora „Podróży do mojej Itaki” postrzegano jako tego, który za bardzo flirtował z peerelem. Zygmunt Trziszka próbował założyć własny związek, który nie wzbudził większego zainteresowania wśród pisarzy. W końcu oddał się skrajnie narodowemu nurtowi i to niekoniecznie nurtowi literatury.

Tamtego lata sielska atmosfera Śródborowa dziwacznie nie pasowała do tego, co w tym czasie działo się w Warszawie, gdzie właśnie miał miejsce szczyt solidarnościowych protestów – niewielu jeszcze wtedy przewidywało, że za cztery miesiące odjedzie wciąż nieosiągalny samochód z napisem „socjalizm z ludzką twarzą”, pokazując swoje tylne światła, na długie lata jeszcze bardzo, bardzo czerwone, wiodące Polaków przez jeszcze niemal osiem lat kretyńskiej reformy Jaruzelskiego.

Jednak, jak wtedy, na cztery miesiące przed stanem wojennym, nie można było wierzyć w nowe, kiedy po dziedzińcu ośrodka w Śródborowie przechadzał się Edward Osóbka-Morawski, kiedy „przed chwilą” Czesław Miłosz odebrał Nagrodę Nobla. Co prawda, obecny na spotkaniach Jan Witan, wtedy zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Poezja”, stwierdził, że Nobel trafił w ręce autora „Zniewolonego umysłu” koniunkturalnie, jednakże zaraz podkreślił, że i tak Miłosz wybitnym poetą jest.

Oprócz wymienionych, do centrum szkolenia aktywu młodzieżowego (bo taka była rzeczywista funkcja tego ośrodka) przyjechało jeszcze parę innych znanych postaci. Rej wodził Piotr Kuncewicz, dzisiaj szef ZLP. Był Tadeusz Mocarcki, kiedyś zastępca „Nowego Wyrazu”, poprzez koligacje rodzinne związany z Gołdapią; był Krzysztof Soliński, poeta, który wślawił się tym, że wydał tomik zupełnie niezadrukowany jako przykład działania z dziedziny poezji konkretnej; była też Julia Hartwig – poetka i prawdziwa kobieta o niezwykłym uroku, chyba już wtedy zasługująca na polskiego Nobla. No i wreszcie Trziszka, Zygmunt Trziszka, z którym na parę dni ja i, nieżyjący już mój przyjaciel Andrzej Sulima-Suryn „zakolegowaliśmy się”. Bowiem Trziszka głośno marzył... Marzył i obiecywał, że w „Tygodniku Kulturalnym”, z którym był wówczas związany,

założy rubrykę dla młodych pisarzy z prowincji. Dla takich jak my, którzy dopiero co debiutowali gdzieś tam w regionalnej prasie. A to nas, wtedy dwudziestoparoletnich, mocno podniecało. Drukować za komuny było bardzo trudno, tym bardziej, że nierzadko decydował o tym nie talent lecz ideologia. A drukować wtedy w „Tygodniku Kulturalnym”... to było naprawdę coś.

Trziszkowa rubryka nazywała się „Wici” i ukazała się dwa, może trzy razy. Po pierwszej edycji otrzymałem od Sulimy list, w którym Andrzej pisze z żalem, że Trziszka zniszczył mu wiersz. Okazało się bowiem, że „Tygodnik Kulturalny” zamieścił wiersz Andrzeja „Na poświęcenie kawałka ziemi” i zmienił dedykację – z „Ginsbergowi” na... „Stachurze”. Wiersz zresztą znakomity, w klimacie bardzo amerykański, stylem nawiązujący do beat generation.

Co miał więc Ginsberg do Stachury? Po prostu Trziszce bardzo zależało na tym, by jego rubryka pobrzmiwała prowincjonalnie, na swój sposób plebejsko i przed wszystkim – „wędrownie”. Niedawno przecież odszedł Sted i jego legenda, niestety, rzadko z dobrym skutkiem, przenikała nie tylko do atramentu wielu pisarzy, lecz także do wielu ówczesnych działań związanych z literaturą.

Zmiana dedykacji miała wiersz Sulimy dopasować do „Wici” i jej stachurowego ducha. Chociaż na dobrą sprawę beat generation, a więc choćby Jacka Kerouac’a lub Jima Morrisona, łączyło ze Stachurą słynne hasło „in the road”, czyli „w drodze”.

W Śródborowie podczas prywatnych rozmów Trziszka dużo mówił o Stachurze. Dało się natomiast odczuć, że Stachura pozostawił Trziszce dziwne piętno. Trziszka nie potrafił ukryć tego, że miał za złe autorowi „Siekierzady” jego nie skrywane przed nikim wysokie poczucie wartości. Nie podobało mu się, na przykład, że autor Stachura na drzwiach jednego z pokojów w ZLP wieszał kartkę: „Nie wchodzić tu się tworzy”. Na dodatek (jak wspominał w Śródborowie autor „Wielkiego świniobicia”) Stachura skrytykował kiedyś kozia, wypielęgowaną bródkę Trziszki jego synonim nienaturalności. Mimo to Trziszka mocno przeżył samobójczą śmierć Stachury, czemu dał wyraz w tekście wspomnieniowym zamieszczonym później w „Tygodniku Kulturalnym”, gdzie uporczywie swego zmarłego kolegę nazywa „Stan”, a nie „Sted”.

W moim odczuciu stosunek Trziszki do Stachury można było określić jako fascynację połączoną z lekką niechęcią, przypominający nieco ten dziwny duchowy związek między Marlowem i Kurtzem. A jednak po niemal dwudziestu latach od owego, przepojonego energią twórczą, pobytu w Śródborowie Trziszka skorzystał z podobnego co Stachura narzędzia, być może dla niego kolejnego... narzędzia poznania.

Co ciekawe, wtedy, w Śródborowie, Zygmunt Trziszka imponował swoją energią i ciekawością świata. Pewnie w dużej mierze wiązało to się z faktem, że właśnie realizował jeszcze inną, bardzo ważną misję, ważną moim zdaniem, dla polskiej literatury – kontynuował przecież pracę nad monografią poświęconą wybitnemu (i wciąż nie docenianemu) pisarzowi Leopoldowi Buczkowskiemu.